KWADRYGA



MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK III. NR. 6.

WARSZAWA 1930 ROK

ROK III
Nr. 6

KWADRYGA

MAJ – GRUDZIEŃ 1930

TREŚĆ:

Redaktor i wydawca: WŁADYSŁAW SEBYŁA

Redakcja mieści się w Warszawie, ul. Wilcza 21 m. 11.
Administracja: Księgarnia F. Hoesicka Tel. 505-31.

Redaktor przyjmuje we wtorki w godz. 18—19.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Księgarnia F. HOESICKA w Warszawie, Senatorska 22. Telefon 610-68. Konto w P. K. O. 3459

Prenumerata wynosi rocznie Zł. 30.–
kwartalnie „ 8.–
Cena zeszytu pojedyńczego „ 3.–

ZAKŁ. DRUK. F. WYSZYŃSKI I S-KA W WARSZAWIE, WARECKA 15.



Przecież to nic nie znaczy że rozkazała tylko ulica —
Cesarza który umarł na wyspie też wywyższył motłoch —
Czyżby strach że jak lodowiec podpłynie północna stolica?
Tam też jest popłoch!!

Rozkazywać — po to wywlekli przemocą z teatru — —
Pierwszy najwyższy — gospodarz w pszennym łanie — —
Działać działać — kto usłuchał w listopadzie wiosennego wiatru?!
Pułki się już rozwinęły jak kwiaty
w świetnie strojone kompanje

Niema przed kim stawać na baczność salutować baronie —
To teraz niepotrzebne — wszak twarz, jak marmurowa skała —
Człowiek —
człowiekowi —
człowiekiem —
potrzeba tylko jednego człowieka — —
Tego natychmiast znaleziono w ludzkim miljonie
i już koniowody wytaczają przed arsenał działa
bruk pod jaszczami ugina się i pęka
Kto wie — a może w tej jedynej chwili
Tłum się omylił?!

To nie jest Saragossa generale —
Nie wystarczy być tylko żołnierzem —
Stalową wstęgą szpady bez dobrze chwytnej rękojeści —
Bagnetem idącym między żebra aż pod serce zuchwale —
Kulą która w kręgosłupie grzęznąc chrzęści!!!

Surdut surdut targa wiatr muskają kule —
Żymirski
czwarty
Kicki
piechota piechota
ranni
niech podrą
poco żołnierzom daje się lniane koszule?!
Już ogień z flanku szarpnął tamtą kolumną i przygiął do błota

Nieprzyjaciel tutaj tam tutaj dymy zasłony
Bataljony
                    baterje
                                        brygady jak bazaltowe bryły
w czworoboki żółtych rabatów granaty się wryły
głęboko
siwe gniade konie
adjutanci
                    lance
                                    trąbki to srebrne Gwadalkwiwiru kaskady — —
Wsysa wsysa wszystko rura lunety — szkliste oko

Nagle bladość krew uciekła z lic —
Niema konia pod jeźdźcem — taka cisza! —
Tylko krzyknął: — to nic!
Piechota naprzód!
Drugiego nie potrzeba
i tak nie obejmą go kikuty nóg —
Poprzez dymy i proch widać skrawek błękitnego nieba
ludzki tłum
                      i lonty się palą
                                                      i kartaczy huk — — —
Wrzask — — — piechota doszła lasku piechota dojdzie wszędzie
przez wodę ogień i mgły dymów tumany —
Piechota bagnetami czerwieni z poszarpanej olszyny dobędzie —
Głucho... równo bez przerwy... ciągle biją tarabany...

1 : 100000

Ciężka jest praca piechoty —
Trzeba rozgnieść nogami każdą drogę.

Idzie się szosą — pionową linją na mapie
Idzie się szosą — poziomą linją wśród zbóż
Z południa wschodu na północny zachód
Kolumna po błocie człapie
Słońce w tornistry ładuje nam kurz

Pomnożyć jedność przez sto tysięcy
To znaczy ujrzeć przed sobą las rozrosły ogromny
Błotniste łąki rozleją się z kresek cienkiej przędzy
A prostokąty czarne zmienią się w biało malowane domy
Czarna linja kosmata — tor drążony w wykopie
Niebieskie rzeki błysną srebrnemi wodami
Kula ziemi wtoczy się pod nasze stopy
A my ją obracać będziemy odparzonemi nogami

W krzywym jak pół zera widnokręgu nikną drogi
I słońce jest błyszczącem zerem w niebie pustem
O zera krwawimy sobie nogi
I zera bierzemy jak soczyste owoce w spragnione usta
Wygrywamy na nich jak na fletach okrągłych
Melodje które są zerami wieloma
Jesteśmy kolumną cyfr do jedności sprowadzonych
A jedność staje się rzeczywistością gdy przez sto tysięcy jest pomnożona

Ciężka jest praca piechoty —
Dziurawemi butami trzeba rozchlapać miękką glinę
Jak tornistry naładować kurzem płuca — —
Ziemia malowany zielono motyl
Codzień ją z mgieł gęstego muślinu
Słońce na nowe marsze wraz z nami w nieskończoność wyrzuca.

STEFAN FLUKOWSKI

TRZYDZIESTA TRZECIA FALA LIRYCZNA.

1.

Miasto wysokie, muzyczne,
Wspaniałe,
Gmachy antyczne,
Białe,
Ładem jasnych kolumn
Doskonałe!
Jak srebro muzyki,
Rosnącej na wietrze,
Gmachy antyczne,
Idące w powietrze,
Lekkie portyki,
Nad niemi gwiazdy,
Srebrnością od luny bledsze.

2.

Mądra sprężystość
Architektury
Jasność i czystość
Linij
Podobna do klawjatury,
Co z muzyki falę szeroką czyni!
Te elastyczne kontury,
Jasność i czystość
Linij,
Rwąca do góry,
Jak helleńska bogini!

3.

Miasto wysokie, muzyczne,
Wspaniałe,

Gmachy antyczne,
Białe!
Szerokie powietrze
I księżyc,
Wiszący na wietrze.

DO MIECZYSŁAWA R...

1.

Nic nie mów, milcz i słuchaj! Wnet
Zielenią do potęgi podniesiony
Zadzwoni bukszpanowy flet,
Wyfruną z otworów jego jaskółki
I w smukłości śpiewającego bukszpanu
Utonie pejzaż zielony.

2.

Nic nie mów, milcz i patrz skupiony.
Złota burza południa łąki zalewa,
A na najdalszym planie
Z pod słońca wynurzony
Stoi koń koloru wiśniowego drzewa.
O południe! O kwiaty! O nadmierny łanie!
Milcząc, śpiewaj!

3.

Nieśmiertelniki pod nogami
I rude sosny nad głową —
Wszystko to idzie od słońca
I jest twego serca połową,
A chata prosta, jak garnek mleka,
Progiem od ścieżki ucieka
W piachów szarzyznę piastową.

4.

Nic nie mów, milcz i patrz, jak okrągleje
U szczytu niebo w obłoki,
Słuchaj jak wieje
Wicher wysoki!
Patrz w ślepie krowie łaciatej,
W głąb krowiej duszy ciśniętej,
A będziesz w aureolę nad czołem bogaty,
Święty.

5.

Mieciu! Dyonizosie
Ty, nie Apollinie!
Po łące, po drzewach, po rosie
W najwyższą pogodę płyniesz.
Takiej szukać i u Goethego
Ze świecą.
Riwarolu mój!
Do Ciebie chwile pogody same,
Jak ćmy do lampy, lecą!

6.

Idziemy polną drogą,
Jeszcze nie starzy, lecz już nie młodzi
I nie dziwimy się naszej długiej przyjaźni,
Jak słońce nie dziwi się, że codziennie wschodzi.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Dwaj bracia Zawichościowie długo siedzieli na ławie pod piecem, trzymając w ręku parciane worki. Wreszcie matka wyciągnęła z pieca garnek z zupą, ojciec wrócił z obory — jedli. Wolno, spokojnie, — niby dopełniając jakiegoś obrzędu, spożywali strawę, którą daje Bóg.

Bracia Zawichościowie byli bliźniętami. Obydwaj blondyni o jasnych, szarych oczach i krępych, niskich figurach.

Po jedzeniu i po modlitwie ojciec wziął ewangelję i zaczął czytać. Czytał jednym ciągiem, nie zatrzymując się.

Od słów starych, niezrozumiałych nieraz, szła ku nim jakaś ciepłość gęsta i kojąca — nito zapach świeżo upieczonego chleba, nito jabłek złożonych na strychu.

Słowa te wypowiadały prawdy niezbite, prawdy napisane przez kogoś raz na zawsze, niezmienne do końca świata.

Do niektórych powiedzeń, szczególnie do słów: zaprawdę, zaprawdę powiadam wam — lgnęli całem sercem.

Ojciec złożył księgę. No, szykujmy się, bo zaraz już sołtys przyjdzie — powiedział.

Uklękli i półgłosem śpiewali jedną z tych pieśni rozciągłych i skomlących, głuchych a rzewnych, jak zawodzenie holujących statek.

W szybę stuknęli dwa razy i człowiek jakiś zawołał. Bracia Zawichościowie dośpiewali refren, wstali, żegnając się krzyżem świętym i pocałowali ojca, potem matkę w jedną i drugą rękę. Wyszli.

Matka stojąc w drzwiach czyniła za nimi święty znak i powiedziała — a pamiętajcie, pamiętajcie co Chrystus mówił.

W mieście komenda wojskowa odesłała Piotra i Pawła Zawichościów na stację, potem w gwarze, ścisku i zaduchu natłoczonego rekrutami wagonu dojechali do wielkiego miasta.

Szli ulicą. Nieśli na plecach swe tobołki, spoglądając wystraszonemi oczyma na kłębowisko uliczne, na samochody, na tłumy bezwstydnie ubranych kobiet, na policjantów, co wiatraczyli rękami pośrodku ulicy.

Krzyk, bezwstyd i zewsząd jadą—cała ulica kotłuje się nieustannie.

Szmygali razem ze stadem swych towarzyszy niedoli, a nadbiegające koła zdawały się już, już nadjeżdżać i miażdżyć.

Strach chwytał ich za serce gdy patrzyli na kilku żołnierzy, co ich wiedli, jakby zbójów, jakby podpalaczy, jakby koniokradów. Każdy na lufie strzelby miał nóż, na który nadziać mógł obydwóch Zawichościów.

Hałas ogłuszył ich, pognębił, zastraszył. Wpadli w wielki gwar, w którym gotowali się, a rzucało nimi jak fasolą w garnku.

Woleli patrzeć na ziemię, bali się podnieść oczy, zdawało im się że Bóg, że Chrystus tylko na wsi jest, na wsi żył, na wsi został.

Dopiero Paweł, łypnąwszy okiem strachliwie, zobaczył wielki kościół, a nad nim krzyż. Pokazał Piotrowi. Szczypnęło ich coś w nosie i gardle, przeżegnali się i otarli łzy.

Lżej im się zrobiło, choć to był dom, zbudowany przez faryzeuszowskich kapłanów — kłamliwych, a łasych na pieniądze, dworskie żarcie i wiejskie dziewczyny.

Ale zawsze — był tu znak męki Zbawiciela.

W tupocie nierównego, nieuczonego kroku, wstydząc się trochę, że oglądają ich jak zwierzęta złowione, doszli do koszar.

Podzielili ich na małe stadka, rycząc i szturchając i wskazali łóżka w wielkich izbach.

Tak się złożyło, że bracia Zawichościowie nie mogli zająć sąsiednich łóżek. Oddzielało ich kilka legowisk obcych.

Łazili dzień cały w bezradnym, nieujętym w garście ładu tłumie.

Na wieczór ułożyli spokojnie ubrania, klęcząc wyszeptali z siebie modły i legli spać wcześnie, spoglądając zdaleka na siebie.

Rano sala miała uciechę. Młody, rudowłosy kapral krzyczał — pobudka! — i kazał wstawać. Wszyscy zerwali się — tylko bracia Zawichościowie klęcząc zaczęli cicho śpiewać pięknymi, jedwabistymi głosami: o Ty, na krzyżu rozpięty...

Zgraja cała — jedni w gatkach, inni już ubrani — stanęła naokół, trzęsąc się ze śmiechu.

— A to nie mogą pod kołdrą pacierze klepać ino tu skrzeczą, jak koty na dachu.

— Patrz, patrz — jak gębę rozdziawia.

Braciom Zawichościom wstyd trochę było, że pośmiewiskiem są i dziwno też — jakto można się śmiać, kiedy słowa boże ktoś śpiewa — ale trzymali mocno przyciśnięte do piersi drewniane krzyże, przymykali oczy i śpiewali — nigdy, nigdy nie zaprą się wiary świętej i słów świętych i tego co się Chrystusowi należy.

Nadbiegł kapral Rudy.

— Co jest, co jest — krzyczał. — Co jest za porządek! Ranna modlitwa odśpiewana w ordynku będzie. W niedzielę do kościoła kompanja pomaszeruje. Ubierać się, końskie łby i marsz po kawę!

Bracia Zawichościowie drżącymi głosami śpiewali, nie rozumiejąc wielu słów kapralowych.

— Co jest, co jest! — krzyczał znowu kapral, — na baczność i odpowiadać!

Wstali, przerywając słodką modlitwę.

Dużo było krzyków i śmiechów.

Rudy nie stanął do raportu, bo jeszcze przysięgi nie było. Rozmawiał potem z porucznikiem i na tem stanęło, że bracia Zawichościowie sami mają dbać, żeby wcześniej się obudzić i półgłosem wypowiedzieć swe modły. Na pobudkę mają być gotowi do służby, jak wszyscy.

Przeszło parę dni. Bracia Zawichościowie stali się jucznymi wielbłądami całej sali. Z konwiami chodzili po kawę, sprzątali, myli stoły, przynosili chleb dla wszystkich. Zastraszeni byli, smutni, a posłuszni i ulegli.

I tak mieli za swoją dobroć, że zawsze byli winni.

— Czy po kawę już poszli? — wołał Rudy.

— Nie, panie kapral, Zawichościów kolejka.

— Co stoicie, mordy fasowane, — ryczał wtedy kapral. — Co stoicie, słupy telegraficzne? Marsz!

Brali kanie i dreptali, przerzucając się cichemi słowami i spoglądając na siebie miłośnie.

Dopiero gdy opuszczali salę, mogli odetchnąć pełną piersią.

Jeżeli czyje łóżko było kiepsko zasłane, kapral zrzucał na ziemię siennik — kto dyżurny, kto dyżurny? — wołał.

— Zawichoście, panie kapral.

I taka była sprawiedliwość.

Ale Zawichościom siły potrzebne były na wierność Panu — tak myśleli.

Wiedzieli, że „to“ się zbliża. Strach ich męczył — jak się oprzeć sile piekielnej. Tryby jakieś wielkie wzięły ich w obroty i oto spali, jedli, śpiewali, jak wszyscy — w pośpiechu i krzyku!

Jakby duszy nie mieli.

Trwali pośród słów i przypowiastek koleżeńskich, wstyd obrażających.

Jak tu odmówić tym tłumom zielonych ludzi z nożami i strzelbami? Tej zgrai piekielnej, groźnej a bezdusznej — chorej na posłuszeństwo? Tym oczom podoficerskim zimnym, okrutnym, obcym.

A chwila próby djabelskiej zbliżała się. A poniżenie, a pognębienie przez towarzyszy i starszyznę rosło i dusiło i odbierało moc.

Płakali głucho pod staremi, łatanemi kocami, gdy cisza chrapiąca zaległa i modlili się.

A w głowach swoich szukali zrozumienia. Poco to? Poco to uczenie, jak kiszki z ludzi wypruwać, jak ciała kulami dziurawić, rwać, jak ludzi trucizną latającą truć!

Czemu? — I nie wiedzieli. Modlili się — i nie wiedzieli. Płakali i nic, nic nie wiedzieli.

I oni nie wiedzieli — ich dowódcy—bo wytłumaczyliby ludzkim sposobem, a tak — nic tylko: słuchać, słuchać — i nie pytać.

Zbójami ich chcieli mieć.

A kiedy księdza w mundurze zobaczyli i znaki — krzyże srebrne na kołnierzu — zamarli.

Czemu krzyże — znaki męki Chrystusa naszego, Zbawiciela?

Taki to kapłan fałszywy w mundurze chodzi — dwoma palcami się kłania i do uczenia się o tem, jak rżnąć, zapędza, zapędza, zapędza.

Prawdę mówili starzy nauczyciele ich zakonu: spojrzyjcie w oczy rzymskich kapłanów-faryzeuszy — tam kłamstwo i zdrada.

Czasami ciążył im ten garb pokory i wiary, którym skaleczył Chrystus wszystkie swe wierne dzieci, ciążyła im ta odmienność, to odróżnienie od innych — ta parszywość. Czekali wtedy obiadowej przerwy i pod czerwoną ścianą budynku koszarowego czytali w cieniu spokojne, hypnotyzujące słowa:

...Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam...

Potem wstawali jak urzeczeni, nanowo zaczarowani przez ewangelję.

Któregoś dnia drużyny ćwiczyły.

Bracia Zawichościowie wisieli oczami na ustach podoficerskich, zgadywali po zmarszczeniu brwi, po skrzywieniu twarzy, słowa komendy. Kręcili się w trybach — posłuszni.

Pierwszorzędny materjał na żołnierza.

Nadszedł zupak z drużyny dowódcy i zameldował coś sierżantowi. Seplenił szpetnie i mocno był spasiony.

Sierżant zgarnął drużyny i poprowadził kompanję do magazynu.

Zawichościom krew uciekła do serca. Zbledli. Nogi łamały się w kolanach, a ręce zwisały bezwładnie, jak grube sznury.

Dwójkami żołnierze brali karabiny.

Starszy żołnierz wręczał broń. Plutonowy zapisywał coś do książki. Pewno o tem, kto wziął. Numer, numer — mruczał. Numer, numer.

Nadeszła kolej na Piotra Zawichościa. Żołnierz sprawdził zamek, czy niema kuli i podał karabin Piotrowi. Piotr stał nieruchomo, blady.

— No bierzcie, do cholery — powiedział starszy.

— Nie, nie — wyjąkał Piotr Zawichość.

Żołnierze spojrzeli po sobie. Nad oddziałem zdziwienie roztworzyło gębę.

— Jakie nie, wściekliście się?

— Nie — zadzwonił głośno Piotr zębami i głosem.

Żołnierz zameldował Rudemu.

Rudy zadziwił się i rzekł — gadacie. Wiedział, że Zawichoście to maślane chłopy. Wziął karabiny z ręki starszego i podszedł do Piotra Zawichościa.

Zawichość drżał i pociągał nosem.

Rudy, milcząc, wyciągnął karabin w stronę Piotra. Małe szparki oczu miał złe i mrugliwe.

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę — krzyknął Piotr Zawichość cienko i przeciągle — nie zabijaj, nie zabijaj — wołał. — Tak, tak, — nie zabijaj.

Rudy zgłupiał na chwilę. Żeby kto — ale Zawichość? Szopki takie urządzać? Oczy przestały mu latać. Nagle odwinął rękę i zdzielił potężnie Zawichościa w pysk, w pysk, w pysk.

Zawichościem zachwiało, ale utrzymał się na nogach. Miał biedną, skurczoną twarz, oczy pełne łez, z nosa ciekła krew po ustach, po brodzie. Trzymał ręce wzdłuż ciała, tak, jak go nauczyli. Patrzył gdzieś w bok, tam, gdzie leżała spadła z głowy czapka. Nic nie mówił tylko kiwał odmownie głową. Rudy miał podniesione bary i dziko wodził ślepiami po zamilkłym szeregu. Cicho było.

Paweł Zawichość wystąpił dwa kroki i ucinanym głosem szczeknął:

— Melduję, jako że mnie, ewangelicznemu chrześcijaninowi, broni do ręki brać nie wolno, i broni tej nie wezmę, bo Chrystus mówi — nie zabijaj.

Dużo był twardszy Paweł Zawichość od Piotra.

Szeregi patrzyły z zaciekawieniem, ale obco. Żeby to za pyskowanie kapral Zawichościa zdzielił — kto wie, czyby się drużyny nie poczęły kołysać. A tak — wiedzieli, że za głupotę, za komedyjność.

Śmiechy furkotały już wśród szeregów, patrzących na zakrwawioną i zalaną łzami twarz Piotra.

Zawichoście miotali wciąż perły swej niezłomności przed wieprze.

Nadszedł wkrótce porucznik. Rudy meldował zgłupiały doszczętnie i mocno wystraszony. Zawichościów odprowadzono do aresztu.

Rudy miał jutro stanąć do raportu za bicie żołnierzy.

Szeregi z karabinami w ręku, tłukły miarowo ziemię, wracając do koszar.

Zawichoście siedzieli w areszcie. Spoczywali rozparci na tapczanie.

Doznali ogromnej ulgi, jakby wypili kubek zimnej wody w upalny dzień — wytrwali i — już się skończyło. Czuli radość samotności, radość nieustępliwego uporu. Żelazne sznury dyscypliny i regulaminu puściły. Dopiero w areszcie byli wolni.

Zbierały w nich słowa ciężko wydłubywane ze świadomości. Uczucie spełnionej ofiary pieniło się w nich i szło po żyłach, jak wino. Męstwo czerpało siły samo z siebie. Radośni byli i pragnęli nowych prób — bo trudny jest tylko początek ofiary — dalej szumi w głowie jakby pożar i bierze zachłannie człowieka i pcha do nowych prób.

Wieczór zapadał. Przez małe okienko zdaleka, zdaleka dochodziły ostre wrzaski komendy. Odliczające szeregi cięły powietrze i jakiś głos kobiecy rozlewnie wołał: — Józieek!... Józieek!...

Siedzieli jak zwierzęta sponiewierane i smutne, ale naokoło swych ostrzyżonych, kanciastych łbów widzieli światłość męczeństwa.

Czekali na dzień rozpraw długie, długie miesiące. Ciężko im było — czekanie rozciągało się w nieskończone pasma, jak klej potworny, jak ciężki sen nieprzespany.

Czekanie — największa próba męczenników.

Z dalekich stron, z obiecanej ziemi, przychodziły czasem kartki i na pierwszem miejscu czytali słowa: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na wieki wieków — szeptali — na wieki wieków.

Wiązali sznurami swoją duszę, co im się rozpływać chciała od czekania. Wiązali ją w mocny, twardy węzeł. Cierpieli i znów rzucało ich to wgórę, to wdół. — To wgórę, to wdół.

Przed czerwonolicymi pułkownikami i majorami stanęli spokojnie — zaprawieni już w męce i ofierze. Odmówili przysięgi. Opowiadali długo, nieskładnie. Nie mogli wygrzebać nic ze swoich myśli, choć czuli je, choć jakby chlustało na nich ukropem, choć do ust szło, szło, szło i — marło na wargach.

Wysłuchali wyroku, raczej niewyraźnego mruczenia pułkownika w okularach. Zdawało im się, że pójdą do ciężkich robót, w jamy mokre i ciemne. Już szykowali się do cierpień.

Ale wszystko stało się inaczej. Wszystko było mało-malutkie.

Po kilku miesiącach wrócili do wojska, do oddziałów sanitarjuszy. Żadnej broni nie otrzymali. Mieli być teraz od ratowania — a nie od zabijania.

Świat morderców i wrogów Chrystusa chyba nie chciał widzieć ich męczeństwa i dał im nawet opaski z czerwonemi krzyżami. Ci od zabijania nie mieli krzyży. Czasem tylko małe krzyżyki, ale na piersiach.

STANISŁAW TUROWSKI

Fragment dramatu w parafrazie przekładu Edwarda Boyé.

„CZYŚCIEC ŚW. PATRYKA".

Patryk: Posłuchaj! Patryk me miano,
Ojczyzną Irlandja zielona,
Którą Hibernją też zwano,
Na wód błękity rzucona,
Poi się pianą srebrzystą,
Irlandja: mórz narzeczona.
Wkrąg pusto, szaro i mglisto,
Wkrąg płyną i płyną wody,
O pierś jej rozdarte skalistą.
Tam życia mego wiek młody,
Chłopięce, szczęśliwe lata,
Kwitły pod niebem pogody.
Odcięta od reszty świata,
Gór śniegiem w słońcu rozbłyska,
Łąk kwiecia na wianki splata.
W Tox [1]) była moja kołyska
w małej i skromnej mieścinie,
bogatej jeno w nazwiska
Rodów szlacheckich!... Tox słynie
Dzielnością cnót i zachwyca,
Wzór dając irlandzkiej krainie!
Na niebie, gdzie Niedźwiedzica
Blask bierze od Amfitrjona,
Gdzie zórz polarnych granica,
Leży Irlandja zielona;
Ziemią ją zowią też świętą,
Gdyż Bogu jest poślubiona.
W krew naszą płomień zaklęto,
Żar ekstaz i męczeństw żary.
Z pogaństwa mocą przeklętą

[1]) Tox — miasteczko w Irlandji. Dawniej zwane także Nemthur, dziś Kirkpatrik.

Walczymy za triumf wiary.
... Dla wiernych życie jest niczem,
Bez męczeństw i bez ofiary.
Irlandczyk był mym rodzicem,
Zaś matką — Francji poddanka,
Miłości paląc się zniczem,
Jako z kochankiem kochanka,
Jako mąż z żoną, w rozkwicie
Szli uczuć od lat poranka!
W ziemskim począłem się bycie
Z tej ich nadziemskiej miłości;
Lecz matce, krom ciała, i życie
Duchowej, wyższej mądrości
Zawdzięczam!... Pan Jezusową
Prawdę na wysokości!!
Chrystusa najświętsze słowo
Kwiatami kwitnie dokoła,
Choć wpadło w glebę jałową;
Zaś chrzest, sakrament kościoła,
Kryniczną spłynąwszy rosą
Na wiernych schylone czoła,
Dusze ich zwierza niebiosom,
Harmonją anielską poi,
Gdzie sfer harmonje się niosą [2])
Pobożni rodzice moi,
Spłaciwszy ślub ziemskiej naturze,
Stanęli u tych podwoi,
Gdzie cichną żywota burze,
gdzie habit wdziewa się czarny
W zakonnych praw klauzurze
Odtąd im żywot ofiarny
Spływał na modłach i skrusze,
Aż ciała kiedyś w cmentarny

---

[2]) „Ch'ci non peccaro: e s'egli hanno mercedi
Non basta perch'é non ebber battesimo
Ch'é porta della Fede, che tu credi."
— Nie sądzę, aby Calderon, pisząc swój dramat, chciał w tem miejscu naśladować Dantego, chociaż w „Czyśćcu Św. Patryka" niejednokrotnie można się spotkać z zależnościami od poety florenckiego.

Proch się zmieniły... a dusze
Na skrzydłach pod nieboskłony
W szczęsnej wzleciały otusze!
Ich śmiercią osierocony,
Znalazłem miłości schron wtóry
W domu irlandzkiej matrony!
Pięć razy słońce do góry,
Nad gwiazd dwunastu sferami,
Wzeszło w rumieńcu purpury,
Pięć razy noc ponad nami
Mierzchła w klepsydrach kosmosu,
Srebrzonych gwiazd obrotami,
Gdym odgadł tajń mego losu,
Prorocze sny i wołanie
Bożego w mej piersi głosu!
Czasami za swe mieszkanie
Najlichsze wybierasz domy,
Bezkresów udzielny Panie!
Lecz dom ten doczesny, znikomy
Tem jaśniej, cudniej się zmienia
W przybytek mocy widomej
Nie pychy to ziemskiej zachcenia,
Nie próżność!... lecz wiar zapały
Twe wieścić tu chcą objawienia!
Przed domem mym Germes biały [3]),
Starzec, ślepotą ócz tknięty,
Stanął gdy nieba zmierzchały!
— „Bóg w łasce swej niepojętej
Przysyła mnie do cię i każe
Wzrok mi powrócić odjęty!
Jasność przyniesiesz mi w darze,
Rąk białych kładąc lilije
Na zgasłych ócz mych cmentarze... —“
Złożyłem białe lilije
Na ślepca... „W imieniu Ducha
Niech, starcze, wzrok twój ożyje!“ —

---

[3]) Opowieść o cudach Św. Patryka mamy już u Jocelin'a.

Gdy zaś Irlandję noc głucha
Lodowym więzem spętała,
Nowy się ziścił cud Ducha!
Puszysta zasłona biała
W perłowe i djamentowe
Kwiaty świat cały przybrała!
Wkrąg sypne zaspy śniegowe
Rosną i rosną bez końca,
A śnieg wciąż sypie na głowę!
Lecz obręcz lodów dławiąca
Nagle rozpęka!... Skroś chmury
Tryskają promienie słońca!
To zmartwychwstanie natury
Tym razem, miast wiosny serca,
Lęk nam zesłało ponury!
Ogień wskroś lody przewierca,
Rumieni, pali i schłania
Kryształ srebrnego kobierca!
Rzeki się budzą z konania,
I lecą górskie potoki
Na wód nizinnych spotkania.
Nurt rzek spieniony, głęboki
Wśród kry i wirów i piany
Śmierci nam niesie wyroki!
Tox zewsząd wodą zalany,
Zalane wsie, miasta, doliny,
Góry i leśne polany.
Zasię bałwanów wir siny
Ostatnie chaty i domy
Porywa z naszej krainy.
Płyną drwa, pale i złomy
I deski, krokwie, przyciesie,
Ni to okręty, ni promy!
Czy widział kto, by po lesie,
Po górach domy się niosły,
Jak statki po mórz bezkresie?
Z bożemi gadając posły,
Znak krzyża ciskam na wody
Ja — w topiel odmętów wrosły!

Znak krzyża ciskam na wody
I w niebo patrząc z otuchą,
Przez miałkie strumyczki i brody
  Stopą przechodzę już suchą.

AUTOPORTRET.

Jak bela, bal, jak Baal, jak Bóg jaki złoty
nad ciężkim, kutym w gryfy z miedzi dzbanem wina
odprawiam msze pogańskie — zalany, jak świnia,
aż mnie nie porwie zajob, czkawka i wymioty.

Rzygam w komin: na muzy, na Oscara Wilde'a!
ze storczykiem — wytworny, jak lord na portretach,
ja — apostoł, fanatyk ładu i esteta,
poprostu, okazuje się, że jestem łajdak.

Jurne bydlę olśnione helleńskim genjuszem,
leżące na kolanach przed boskiem obliczem,
kiedy mam w brzuchu kilka litrów tęgiej cieczy

parskam, prycham na bronzy, cietrzewię się, juszę
i jak rżnięty wół w niebo otworzone ryczę:
Niech będzie pochwalony nieporządek rzeczy!

BLISKI PEŁNI.

Dziwnie się plecie
melancholja z hultajstwem
na tym tu moim świecie,
w tem mojem małem państwie:

jak w instrumencie na strunach
tu gra
płomienny język,
złoto, kołysanie malw, luna
i rozmarzona mgła.

A ja smutny i wesoły człowiek
tego wszystkiego dochodzę,
a co wyłowię
rytmem dobrze odmierzę i rymem ugodzę.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

PIERWSZA DROGA MIŁOŚCI.

I.

Zbierałem pęki róż przez cały lipiec.
Dzisiaj oberwę płatki i rozsypię
po drodze, która wiedzie do mojego domu o srebrnych okapach.
Czy przejdzie tędy Marja? Czy zwabi ją zapach?
Niestety, idzie lasem. Nie szkodaż kwiatów czasem?
Nie szkoda! Przecież mogła iść wśród kwietnych pasem.

II.

Od roku wprawiam się i o tem marzę,
żeby nauczyć się grać na gitarze.
Dzisiaj podkradnę się pod okno Marji!
Ach! Marja nie chce słuchać mojej arji?
Gitarę zawieszam na drzewie. Strun nie rwę w bezsilnym gniewie.
Cóż z tego? Przecież mogła usnąć przy moim śpiewie!

III.

Kochać uczyłem się przez całe życie,
Dzisiaj wypadnie mi stanąć na szczycie
i wypowiedzieć wszystko: Raj, czy Piekło?
Ach, z rąk mi Niebo promienne uciekło!
Kto chce, niechaj narzeka. Mnie zostaje radość Człowieka.
Wiem, jakie szczęście tych, którzy wejdą do Raju, czeka.

DRUGA DROGA MIŁOŚCI.

I.

W połowie czerwca
Największe kwiaty róż
Juna *) ciskała
Z pod ciężkich powiek,

---

*) W oryginale gra słów nie do przetłumaczenia. Juna po ang: miesiąc czerwiec i imię kobiety.

Gdy pewien człowiek
Suchego serca,
(Wśród kwietnych burz
Wapienna skała),
Odwrócił się, ziewnął szeroko, i trzciną
Ścinając traw główki, tak rzekł z pyszną miną:
„Jeśli dam Junie kosza, czyjąż będzie to winą?"

II.

A więc, fora ze dwora!
Masz rację! Mężczyzna
Nie wytrwa przy Junie!
Cóż stąd, że na łonie
Wykwitł jej kwiat jabłoni?
Pachnąca obora!
Kwiecista zgnilizna!
Kto spojrzy, ten plunie!
A zresztą niech Juna z gąsienic oczyści
I naprawi Altanę Trzech Róż, którą z liści
Odarła twa ręka, — a kto wie, co się ziści!

III.

Niech w drzewa zapuka,
Niech pękiem kolorów
Niezwykłych się mieni,
Różami bez cierni,
I takich, co wierni
Jej będą, poszuka:
Półmdłych amatorów
Bezdusznej zieleni —
Kto wie? Niech poruszy czerwcowe pioruny,
Niech z sufitów postrąca pajęczyn całuny, —
Kto wie?
To się może przekonam od Juny.

Przekład LUCJANA SZENWALDA.

Te pagórki po polach, te krzyże z dwóch drewien,
zżarte czarną rdzą czasu, próchniejące ciszą,
porosłe rozchodnikiem, mgłą i różokrzewem,
nad któremi w noc gwiazdy, w dzień skowronki wiszą,
za pasącym w tych miejscach swe stada flecistą,
szukając treści w rzeczach, nie w ich pustych dźwiękach,
chciałem wygrać w natchnieniu pieśnią uroczystą,
ale mi właśnie z jękiem fletnia w ustach pękła...

Pękła mi w ustach z jękiem ta fletnia z wikliny
od siły w niej ukrytych dźwięków tajemniczych,
ta fletnia, którąś z wierzby tej łąki ulinił
i którąś nieopatrznie do ust mi pożyczył —
ach, ty już nie pamiętasz, pastuszy flecisto,
jak nagła chmura wojny nad tej łąki runią,
rozlawszy się szeroko i zwisając nisko,
pęczniała prochem mroku i pękła piorunem,
ach, ty już nie pamiętasz, ach, już nie pamiętasz,
jak nad polem i borem grzmiąc i nad tą łąką
zmieniała każdy zagon w grób, a wszystko w cmentarz,
w który bomb, krwi i jęków więcej niż traw wsiąkło,
gdzie granat każdy śmiercią pękał i zapadał
w staw z utopionym na dnie z rozpaczy miesiącem,
gdzie teraz chór żab płacze... ach, któż wyspowiada
drżące listki osiki i wierzby płaczącej
i blade usta dziewann i tej oto trawki,
ile pod korzeniami ich spoczęło istnień,
ile w ich włóknie każdem straszliwej zagadki,
ile to o niej szepcze każdy drzewa listek
i ile, ile mówi każda rzecz, co w sobie
ma, prócz dźwięku własnego, dźwięk budzony przez nią,
więc skądbym śnił, że z fletni o prawdzie się dowiem
i że prawdę z pod ziemi dobędę poezją.

Skąd wiesz, ile tysięcy z pod tej ziemi czarnej,
z pod tego głazu ciszy ile miljonów

zmartwychwstaje co roku w bladych kiełkach ziaren,
krąży szeptami soków w słojach wierzb i klonów —
skąd wiesz, ile melodji nasiąka w powietrze
zawarte w żywym kubku z twych złożonych dłoni,
gdy każde źdźbło z pod ziemi wieść o wnętrzu szepcze,
gdy każdy liść na drzewie głośno jak dzwon dzwoni —
skąd wiesz, ile tajemnej straszliwej muzyki
zawiera dźwięk przypadkiem potrąconej szklanki
wytopionej ze żwiru, na którym z okrzykiem
rozpaczliwego bólu żołnierz oczy zamknął —
skąd wiesz, za ilu dniami, za ilu nocami,
z których czas dla nas żywych trumny ciasne wykuł,
ukrywa się ten moment, gdy zmarli pod nami
z głębi ust przywalonych strzelą ogniem krzyku?...

A dziś, patrz, noc pod niebem gwiazdami dzwoniąco
kwiat, nalany księżycem na łące się bieli
i rzeka, z której powiew tony fal wytrąca
podobna rozpłakanej strunie wiolonczeli —
a dziś? — dziś noc. A jutro? — jutro będzie święto,
obłoki jak sztandary powieją nad światem,
trawy na wschód zwrócone przed wschodem uklękną
kwiaty usta otworzą, śpiewając zapachem,
ponad rzeką rozniosą się echami dzwony,
ptakami się rozszumią drzewa wieloletnie,
aż zmarli śniąc, że im to ten dzień poświęcony,
wyparują z pod ziemi niby dźwięki z fletni.

I wówczas, gdy zapadną już groby nieznanych
i zgaśnie płomień w sercach jak w urnach ofiarnych,
powstaną zapomniani o twarzach tych samych
ci, ci z pod Radzymina, z pod Verdun, z pod Marny,
z pod głuchej niepamięci wypłyną jak echa,
pójdą, pójdą tłumami (ach, któż ich policzy?),
przemieszani z żywymi, pod ręce człek w człeka,
na wielki wiec umarłych z żywymi w stolicy —
a tam ich rozszalałe powitają dzwony,
gardła syren i armat, — cywilnych i zbrojnych —
w jeden okrzyk wybuchłe jak wystrzał, jak płomień:
nie chcemy więcej rzezi, precz, nie chcemy wojen! —

i w szale entuzjazmu cisną czapki w górę,
i mundury odrzucą, i odznaki zedrą,
i ruszą do katedry, chwaląc Boga chórem,
i nie mogąc wejść wewnątrz, staną przed katedrą. —

Błękit nieba nad ziemią i cisza ogromna
i msza, aż się pochyli tłum podobny trawie,
gdy nagle pod katedrą wybuchnie jak bomba
serce najbiedniejszego człowieka w Warszawie...

MARJAN PIECHAL

u dna ostrego krzyku
nic się nie jawi
brudna skrwawiona stopa na chodniku
płot afisz
drzewa szeregami bojowo
chcą śpiewać ramionami nad głową
ziemia w kamieniach płowych
nie może się uśmiechać
a gdzieś
chociaż nici pajęcze na strzechach
ptaki lecę pod zorzę
świtem
wiatrak ręce ogromne rozłożył
szumiąc nad żytem
chociaż rola wędruje bruzdami wzdłuż
od horyzontu do horyzontu
od zórz do zórz
niema spokoju

pokoju mój z zegarem
przyjacielu z zacisznem objęciem ścian
nawet ty wietrze stary
na ulicach mnie zdradzasz gdziem sam

ach nie noc jedwabi żałobnych
nie burza nad pustki żywiołem
nie sen

słowami czerwonemi
stronami czerwonemi
za rozpalonem czołem
ciemny tors mostu nad ciszą
wszędzie czerwienie kołem
ciemne płomienie wiszące
w mętnych strumieniach sekund
grożą
powodzią wieków

straszniej niż noc
straszniej niż burza
niż sen

Józef Czechowicz

Z „cyklu biblijnego".

PIEŚŃ ŚWIĘTEGO SZYMONA SŁUPNIKA.

W krwawo płonących chmurach
Na nizkim cedrowym słupie
Jak jednonogi chwiał się żóraw
Żałosny Boży głupiec.

Kiedy noc gwiazdy rozpala
Na sinym nieboskłonie
Krwawemi łzami korali
Broczyły chude dłonie

Pod nim się morze chwiało
Ciemnozielonym chlustem
Szaloną pieśń śpiewały
Spieczone czarne usta:

Suche patyki ramion
Rozpiąłem na gwiazdach
Słup mój przebija niebo swoim twardym ostrzem
Kiedy słońce zapada ręce moje krwawią
Gdzieś jest? Nie mogę cię dostrzec?

Oto stoję nad ziemią mdły księżyc trupi
Złociste gwiazdy planet rozkwitły podemną
Świat się mojemi łzami upił
Głuchą otwarłeś ciemność

Po pas utknąłem w mlecznej drodze
Gwiazd potłuczonych szkliwo
Zeschniętą dłonią pieszczę
Kiedy chmury się pławią w płomiennej pożodze
Gorącą gęstą oliwą
krew kapie płonącym deszczem

Wiatr wzdął ocean mgławic
I słupem kołysze

Otom ujął ster świata i któż mi go wydrze?
Gwiazdami będę się bawić
I słońca przesiewać
Jak piasek w odwiecznej klepsydrze

Różowe światło świtu dzień wylewa z dzbanów
Zgaś moje oczy dobrotliwem bielmem
Niech żagwie oczu zgasną
Nim nadejdzie rano
Niech mnie ominie ciemność.

CHLEB Z GIETSEMANE

W oliwnym sadzie Gietsemanji
Płakał Chrystus krwawemi łzami

Noc wisiała duszna i parna
Pot krwawy padł w ziemię jak ziarno

Latem wyrósł i rozkwitł w żyto
Już Chrystusa do krzyża przybito

Jesienią puste kłosy w wilgotnej gniły glebie
Chrystus był z zmartwych powstał i rząd sprawował w niebie

Na wiosnę w Gietsemane okryty krwawym potem
Siał Chrystus chleb dla ludzi — nim wstąpił na Golgotę

BOLESŁAW MICIŃSKI.

WODA W NIEBIE.

Leżysz cicho na trawie, zwinięty w kłąb siebie —
stężałeś w promień wzroku, co w górę się wspina.
Widzisz chmury pierzaste. A to woda w niebie.

Jakież piękne te kule, jakimż puchem miękkie,
Zda się, dmuchnę i lekko, jak piłki podbiję;
Czy to prwda, że wczoraj rzęsistym wysiękiem
deszcz wypuszczał z ich brzuchów długie, sine żmije?

A więc to modre stawy nademną tu wiszą.
Ktoś po nich łodzią płynął. Dziś wiatr je potrąca.
Frunęły źródła w przestwór i snem się kołyszą,
coraz dalej od ziemi i bliżej do słońca.

Kwiaty, patrzcie się ze mną, bo wyschło wam w gardłach.
Ileż tam w niebie wody. Aż mokre mam oczy.
To ta bestja ognista z łożysk się wydarła
i nad ziemią spragnioną szyderstwem ją toczy.

O wzniosłe góry kropel, spiętrzone, jak piana,
smoki mgliste, dymiące, upierzone domy.
O wozy elektryczne księcia burz, szatana.
Trzodo sennych aniołów, majaku ruchomy.

Jak przez szkło na krawędziach słońce przez was ciecze,
kłębicie się przemianą powiewną i czystą.
Łyśnijcie, bomby Boże, macie w pochwach miecze.
Niech grom krwią was przebije, niech wicher rozśwista.

Ożywcie wodospady zlizane z gór wczoraj,
niech runą ostrym gradem, oślepłym i dźwięcznym.
Wszystkie źródła skradzione zrzućcie na dół z wora,
bo świat zgorzał już skwarem w czerwonej obręczy.

Wróć wodo z nieba wszystka, boś ziemiom nasieniem,
spadnij z wrzawą i gwizdem na dawne twe łoża.
Bij ulewo, bywajcie powrotne strumienie.
Za długo pływasz w niebie, Wielka Wodo Boża!

JERZY BRAUN.

CZŁOWIEK W OKNIE.

Dom jest drewniany. Sczerniały i stary stoi w zaniedbanym parku, z trzech stron nim otoczony; — z czwartej — od wejścia — ciągnie się, drzew pozbawiona zupełnie, ugorna przestrzeń, step. Park jest wielki; trzba iść dość długo, zanim się dojdzie do końca. t. j. do miejsca, gdzie się znajduje staw: wielka, nieruchoma plama wodna zielonkawego koloru. — Niespuszczany od lat wielu, staw zarósł gęsto, zarybił się i powierzchnię jego pokrył mech i lilje wodne. Poza stawem są wzgórza dość wysokie; oblegają one również park wpółkole, czyniąc go ciemnym i wilgotnym. Tak więc, dom stoi w miejscu ponurem, — na pustkowiu.

Jest to dom, w którym rozgorzał płomień miłości zbyt gwałtownie, aby mógł trwać długo. Nie zgasł jednak sam przez się, — został zgaszony. Było to przed laty dziewięciu; wówczas, gdy żona Szymona Pelca była równie piękną kobietą, dobrą żoną i czułą matką. A ponieważ zbyt długo dochowywała wiary swemu mężowi, (chudy i wąsaty naczelnik stacji kolejowej, lubiący grać w szachy) świadomość zaś urody i względnej młodości zmuszała ją do cichych tęsknot i częstego patrzenia w lustro, więc nie mogła, nie chciała może, długo opierać się pięknemu oficerowi, niejakiemu Garłupejowi, przyjeżdżającemu często w gościnę do domu, w którym przebywała tak ponętna kobieta. Tak więc, Szymon Pelc był zdradzany. — Piękna Flora zdradzała go z energją i sprytem, tak właściwym kobietom poznającym rozkoszne misterja zakazanego szczęścia. Na kilka dni przed powrotem do miasta (Pelcowie przyjeżdżali tu na letnisko) Flora zniknęła wraz z Garłupejem. Nie zostawiła listu, nie wzięła nawet ze sobą wierzchniego okrycia, — również płaszcz i czapka Garłupeja wisiały na kołku. Poszukiwania trwały dwa dni. — Znaleziono ich wreszcie — Florę i Garłupeja: opuchli i sini poruszali się lekko w sitowiu stawu. W pobliżu pływała łódka dnem wywrócona do góry. Szymon Pelc badał wywrotność tej łódki: nie, nie była znów tak wywrotna: musiano w niej różne hopki wyczyniać.

W rok po śmierci żony, Szymon Pelc doczekał się emerytury. Sprzedał więc dom w mieście i przeniósł się na stałe razem z cór-

kami tutaj, do tego ponurego ustronia. W kilka tygodni później przyjechał cioteczny brat Pelca — Emeryk Sobel. Przyjechał na krótko, aby pocieszać brata, — przedłużyl swój pobyt do kilku miesięcy, aż wreszcie został na stałe. Coś mu się tam w mózgu popsuło.

*

* *

Szymon Pelc zajął dwa pokoje na piętrze, — zdziwaczał. Nie wychodzi prawie ze swego mieszkania; często gra z samym sobą w szachy lub mówi głośno. Żyje cicho — wspomnieniami. Trzeci pokój, obok ojca zajęły córki: Janina i Fera. Pierwsza zajmuje się gospodarstwem; ma jasne włosy, wesołe oczy i dwadzieścia pięć lat. — Tak się jakoś stało, że przegapiła swą młodość, — nie zdaje sobie nawet sprawy z tych lat, które przeszły niezauważone, minęły ją, jak pociąg samotną budkę dróżnika; były tam jakieś maje, słowiki i tęsknoty nieuświadomione, — ale teraz żyje sobie oto beztrosko, — pulchna i wesoła, myśli jej ograniczają się do domu i kuchni. — Nie potrafi cierpieć. Fera. O, ta ma swój płomyk, który ją wiedzie przez mrocznie-monotonne życie; są to skrzypce, kształtny instrument z drzewa, wyrażający często wiele. Gra więc Fera całemi dniami; chuda i wysoka nadmiernie, podobna do ojca, o rudych włosach, wyblakłych oczach i piegowatej, bezbrewej twarzy, Fera sprawia wrażenie czegoś niepotrzebnego w tym domu.

A na dole mieszka Emeryk Sobel. Jego pokój mieści się w lewej części domu; okno wychodzi na gęsto zadrzewiony kąt parku. W pozostałych czterech pokojach umieszczone są różne stare sprzęty, szafy pełne gratów nieużywanych i zniszczonej odzieży — nikt do nich nie zagląda. W pokoju Emeryka stoi szerokie, drewniane łóżko z brudną pościelą, obok łóżka — na podłodze — leży stos napół zjedzonych przez mole książek, naprzeciw stoi duża szafa z jedną połową drzwi tylko. W kącie ściany, obok drzwi, stoi kubeł z wodą, taburet, na nim miednica z wypryskaną w wielu miejscach emalją; pod oknem stoi obszarpany, wytarty fotel; w tym fotelu Emeryk spędza prawie dzień cały siedząc i patrząc w okno. Tak jest tutaj: brudno i cuchnąco, kąty zaśmiecone, — szare, obtłuczone ściany są gołe i wilgotne.

*

* *

Teraz jest zima — luty. Drzewa czynią wrażenie wielkich, czarnych patyków powtykanych w niebieskawy, twardy śnieg; odcinają się one ostro od martwo-ołowianego, mroźnego powietrza. Przy oknie, w fotelu, siedzi Emeryk i patrzy przez wychuchany krążek w szybie — w ciszę parku.

Palce prawej ręki trzyma między zębami i, gładką — bez zarostu — brodę oparł na dłoni. W pokoju ziąb panuje wielki i Emeryk ma na sobie kilka sukien; długich, kobiecych sukien, kloszowych i wązkich w pasie. Na nogach ma popielate, ciepłe pończochy i damskie, sznurowane buciki na wysokich obcasach. Na suknie nałożył olbrzymie, wyleniałe w wielu miejscach futro niedźwiedzie. Jest zgarbiony i nieruchomy. Długie, w kosmyki pozlepiane włosy opadają mu w nieładzie na ramiona. Twarz jego w przeciwieństwie do wątłej postaci jest wielka, tłusta i obrzękła. Mięsisty, wągrowaty nos podkreśla blado-sina linijka cienkich warg, rozchylonych wetkniętemi między białe zęby brudnemi palcami. Siedząc tak pod oknem, Emeryk sprawia wrażenie odrętwiałego. Lecz w szparkach przymrużonych powiek błyszczą oczy: czarne, poruszające się djabelnie żywo, złośliwie patrzące przez zamarzłą szybę, niesamowicie wesołe oczy. Tedy więc, tutaj uciekło życie,— tutaj się mieści, skoncentrowane w tych dwuch szkliwach owalnego kształtu, ukrytych poza niedomkniętemi powiekami. Jest jeszcze coś, czego nie widać, a co pracuje usilnie — zbyt usilnie i przekazuje swą żywotność oczom: szara masa, wciśnięta w siatkę z tysiąca czerwonych włókien, poplątanych w tej spiczastej głowie osadzonej na wązkich barkach. Jest mózg — umysł obłąkanego człowieka, który siedzi bez ruchu w nieopalonym pokoju i patrzy na kilka bezlistnych drzew, sterczących w śniegu; — jakgdyby starał się ujrzeć tam coś, coby mu rozwiązało zagadkę kilkuletniego przebywania w tym cuchnącym pokoju i wpatrywania się w okno, poza którem monotonnie — cztery razy do roku zmieniał się ten kawałek parku: budząc się na wiosnę, — pulsując życiem stworzeń i roślin w lecie, — zasypiając wraz z drzewami na jesieni i śpiąc w zimie — w śnieżnej martwocie. Ten mózg jest czynny — zbyt czynny, pełen niepotrzebnych myśli, — funkcjonujący jak fabryka pełna oszalałych robotników bez dozoru. Kłębią się, niedojrzałe do wydania w czas rozkazu ruchu w którym z członków tego słabowitego organizmu — myśli. A jeszcze o oczach: — te dwa małe, uwięzione jakby zwierzątka, biegające w swych ciasnych klatkach,

naładowane fałszywą żywotnością mózgu — jakże błędnie odźwierciadlają one sceny, przesuwające się przez ten chory umysł.

Teraz pracuje wyobraźnia: — Tam, na łóżku leży napół rozebrana kobieta; jej piękna twarz tchnąca zmysłowym zachwytem przytulona jest do policzka mężczyzny. — On jest barczysty; nakrywa ją swem masywnem ciałem, obleczonem w mundur wojskowy,— porusza się i ostrogi u jego butów wydają cichy dźwięk. Posiada ją. (Powieki Emeryka są zamknięte, a cała twarz ożywiona wyimaginowaną, lecz jakże przeżywaną rozkoszą). Teraz kobieta obejmuje gwałtownie ramiona mężczyzny i głowę jego przyciska do obnażonych piersi; — wydaje głuche, przytłumione spełnianiem jęki i usta jej szepcą słowa bezładne — (wydaje je Emeryk widząc się na dnie rozchybotanej łodzi). Kobieta opuszcza głowę na poduszkę, — ciałem jej wstrząsają dreszcze nasycenia. Usta Emeryka uwolniły się od palców i szybko przepuszczają powietrze; — kontury łodzi rozpłynęły się wraz z rzedniejącą mgłą wyobraźni: — tu, pod oknem spełniło się. Lecz wróci podniecająca wizja — może za godzin parę, — gdy tylko ciało sił nabierze nieco.

Zatem rozdwojenie osobowości; — pod sukniami kryje się owo nieporozumienie płciowe — pod sukniami, które okrywają ciało mężczyzny — półmężczyzny, obłąkanego Emeryka Sobla.

Jego twarz tężeje jakby, — podniecenie znikło już i blado-sine pasemka warg zamknęły się. Emeryk wstaje zwolna z fotela i zbliża się niemrawo w stronę kubła z wodą; drży cała ta postać, drży i wydaje gardłowe dźwięki. Trzęsącą się ręką zanurza blaszany kubek w wodzie i pije chciwie. Po chwili Emeryk zajmuje z powrotem miejsce pod oknem, opiera brodę na dłoni i znowuż przygasłe oczy jego wpatrują się w nieruchomo sterczące drzewa.

Janina otwiera drzwi gwałtownie; wnosi dwa talerze — z zupą i grochem, — stawia je na oknie i powiada: No, jedz — Emer! — jedz i nie myśl tak wiele. O czem ty myślisz? — Wyjmuje z kieszeni fartuszka małe lusterko: popatrz jak ty wyglądasz — jak topielec. — Twarz masz nalaną, zsiniałą. — A to wszystko przez to, że zawiele myślisz, a zamało jesz; nie patrz tam — tam nic niema: śnieg i smutne drzewa, mróz i parę wron. — Emeryk nic nie odpowiada, nie odwraca się nawet — więc Janina klepie go po ramieniu — mówi: ej, ty dziwaku, — i wychodzi trzaskając drzwiami z nadmiaru sił żywotnych.

Emeryk zjadł obiad. Chodzi teraz po pokoju i mamrocze pod nosem słowa niezrozumiałe. Myśli jego są różne, zawsze jednak

bliżkie jednego tematu: — Jest bladą, szczupłą panienką. — Sad błyszczy tajemniczo w poświacie księżyca; na ramiona i włosy panny sypią się bezgłośnie płatki kwiatu jabłoni i wiśni. — Trzyma ją ktoś pod rękę, — kto? — może ten parobczak — olbrzym opalony, pachnący potem i sianem, może bokser ze spłaszczonym nosem, ten, którego podobiznę widziała w pewnym tygodniku sportowym, a może wysoki ułan, lśniący lakierem butów — któryś z nich prowadzi ją do łodzi drgającej na migotliwej powierzchni stawu. Usiedli na wązkiej ławce; mężczyzna obejmuje pannę wpół, — (Emeryk tuli się do niewidocznej postaci) całuje grubemi wargami i ciepłym językiem pieści podniebienie; — potem ściska ją mocno, namiętnie, i układa na chłodnem dnie łodzi. Panna broni się, (Emeryk odpycha rękoma powietrze — uśmiechnięty) lecz jakże jest słaba — i, — tu kończy się wszystko, ciało protestuje — jest zbyt wycieńczone, i Emeryk wyobraża sobie inną, podobną scenę, również bez skutku. Może później, gdy organizm nabierze sił nieco po poprzednim wysiłku.

Minął suchy, mroźny luty. Rzadkie, ciepłe podmuchy owiewają zmartwiałą przyrodę. Ktoś — stojąc w parku — mógłby zobaczyć w oknie lewej części domu głowę spiczastą, wtuloną w ramiona, — o twarzy żółto-sinej — obrzękłej, lecz pogodnego wyrazu, z brodą opartą na dłoni. W ledwie topniejące śniegi utkwione jest smutne spojrzenie marząco-błędnych oczu.

Emeryk porusza wargami, jakgdyby modlił się: (teraz ma na sobie spodnie w paski i flanelowy kaftan, otulony jest futrem) cóż z tego do djabła, djabełka, djablunia, djablasa — że mam lat czterdzieści... repepe... pluplup... śnieeg toopnieje... wioseenka nadchoodzi... czterdziesta... czterdzieestaa... hohoho! czterdziestaa. Do pokoju poczęły się wsączać denerwujące tony skrzypiec — bez ładu, porządku; cienkiemi strumykami tłoczy się do uszu Emeryka — potwornie-szalona improwizacja, tem gorsza, że wychodząca z pod smyczka wodzonego ręką wprawną. To Fera gra.

...wsiądę na okręcik, taki... taki malutki... i będę... lub może do łódeczki... z żoną admirała floty królewskiej... haha... i będę jechał, jechał po morzu... lub po stawie może — ale dokąd? — do Tahiti pojadę na łódeczce, albo nie... albo nie — na biegun pojedziemy... na bieegun. A jak utoniemy po drodze? — hehe.

Emeryk rozparł się w fotelu i klasnął w dłonie dwukrotnie: hej, słudzy! — zapalcie łuczywa, zapalcie je — niechaj mrok zwalczą blaskiem swoim. — Męczą mnie cienie trupów poległych na woj-

nach, które wygrałem. O, jakże ciężko jest być możnowładcą, — podajcie mi wina. (Do uszu, do mózgu Emeryka — jak małe, jadowite żmijki wpełzały tony skrzypiec; kłębiły się tam, wwiercały). Wiem, że jest zatrute, lecz trudno — ginę, jak na monarchę przystało. Hooj! — Emeryk wstał, — prawą rękę przyłożył do serca, lewą uniósł do góry — począł śpiewać swym cienkim głosem, udając bas: ...lecz nie martwcie się, o widzowie — przecież to tylko opera, będę konał tak przez dni kilkanaście — codziennie. Co to?— oszalał mój generał, och, jak słodko grzmią armaty. Ja. Samotny lew z pustyń lodowych — fioletowy lew — zawtóruję wam o, armaty. Fera nie przestawała grać na chwilę. Emeryk ukląkł, ręce oparł o podłogę — podniósł głowę do góry i począł wyć. Niesamowity ryk, przechodzący wytrzymałość ludzkich strun głosowych, zmieszał się z dźwiękami skrzypiec i zawirował, zatańczył we wszystkich pokojach. Nowe zaczerpnięcie powietrza do płuc, i drugi, potężny ryk podtrzymał cichnący odgłos pierwszego. Skrzypce nie ustawały na chwilę; cały dom rozbrzmiewał obłąkańczym hałasem. Z pianą na wargach — nie w stanie już wydobyć głosu z wymęczonego gardła, powlókł się Emeryk na łóżko: twarz ma błogo roześmianą. Usypia, kołysany gorączkowo-cichą, szybką, *tajemniczo-nerwową* melodją, przędzoną smyczkiem niezmordowanej Fery.

A tam — na górze, Janka mówi do Fery, wycierając mokre po płukaniu kartofli ręce: — znowuż ryczał, — to ty — Fera — tak go rozdrażniasz tą swoją muzyką, zawsze, jak tylko nasłucha, nasłucha się tego, co ty grasz, jak mu się nazbiera przez parę dni, to zaraz zaczyna to swoje wycie. Jemu się nie dziwię, bo warjat — ale ty Fera?! — Kto to słyszał tak grać po całych dniach. — A może i ty też...

Ale Fera nic nie odpowiada — gra. Więc Janka schodzi nadół, do kuchni, zagląda do gotujących się kartofli i już zupełnie o czem innem myśli.

* * *

Druga połowa marca. — Obudziły Emeryka pewnej nocy odgłosy głuche: było to monotonne trzeszczenie kół — skrzyp żelaza i tupot wielu kroków ludzkich. Za oknem trwała oleisto-ciemna noc i Emeryk położył się z powrotem, nie zbadawszy przyczyny hałasu, — usnął przy akompanjamencie turkotu i nawoływań. Rano

hałas zmniejszył się znacznie; słychać tylko jakby szurgot wielu butów podkutych. Patrząc w okno, widzi Emeryk, poprzez nagie gałęzie drzew i krzaków obrastających wzgórze ciżbą idących żołnierzy, częściowo tylko widocznych przez niezasłonięte gałęziami miejsca. — Idą ciężko i bezładnie; ich źle obute i okręcone owijaczami nogi — plączą się i potykają o nierówności gruntu. Zatem piechota przechodzi drogą przez wzgórze; nocą poprzedziła ją baterja, sądząc po turkocie toczących się dział. Emeryk usiadł w fotelu i wtuliwszy twarz między dłonie, patrzy w górę, kędy za drzewami przechodzą zmęczeni, ociężali żołnierze.

Tak więc, (w umyśle Emeryka odbywa się nieporadnie proces myślowy, wychodzący poza granice łóżka i pokoju) gdzieś na świecie była lub jest wojna — skoro tam wgórze tłoczą się żołnierze naprzód — zgarbieni. — Odwrót chyba. Idą djabelnie zmordowani, to widać po ruchach; pada drobny deszczyk i karabiny ich są opuszczone lufami do ziemi. Emeryk patrzy: tam, jacyś, tego, żołnierze — a on tu sam... skąd właściwie on tutaj... to przecież jest coś poza tym parkiem. A on? — Kto jest on?? — W tej chwili stłoczone, głośne tony — furjacka melodja Fery wtargnęła w logikę pytania, jakby wściekły buhaj między spokojne łany zboża. Mglisto wyłaniająca się odpowiedź zawirowała w zgrzytliwej masie dźwięków — rozmazała się po rozdygotanym umyśle i, — pytanie pozostało bez odpowiedzi. A tamci idą: drobny deszczyk potęguje jakby odgłos ich kroków — idą... idą; posuwa się naprzód szara masa ludzi z opuszczonemi na piersi głowami. Monotonnja tego marszu łączy się z grą Fery i tworzy denerwującą mieszaninę dźwięków. Emeryk wstaje z fotela i poczyna szybko chodzić, trzęsącemi się rękoma wyrywa włosie z futra: co chwila zagląda w okno — idą. Fera gra.

Mrok rozlał się w zadeszczonem powietrzu i zamazał sylwetki żołnierzy, z dziurawych rynien opadają krople wody na ziemię — skrzypce Fery umilkły. Emeryk marzy: jakże pięknie wyglądał. Lakierowane cholewy lśnią i obciskają zgrabne łydki młodego oficera. Idzie trotuarem i czuje na sobie wzrok zachwyconych kobiet, — zdejmuje z ręki kremową rękawiczkę i zapala papierosa, następnie idzie — spaceruje tak bez końca. Potem... co potem?— Emeryk otwiera oczy; w pokoju jest ciemno, — turkoczą szybko toczące się działa i słychać nawoływania żołnierzy, więc Emeryk kładzie się do łóżka i zasypia ciężko, drżąc z zimna.

Ranek jest pogodny. Emeryk widzi przez okno żołnierzy, konie i wozy w słońcu. Tu, w jego pokoju jest mroczno, ale skoro tamci mają pogodę, to znaczy, że już niedługo nastaną ciepłe, słoneczne dni.

W szerokich wozach siedzą ludzie bladzi, z poobwiązywanemi głowami i rękami na temblakach: — powożący ostro poganiają konie, koło wozów biegną żołnierze o ziemistych twarzach; co pewien czas przeganiają ich pojedyńczo kawalerzyści. Na tyłach idą ci najsłabsi; tłoczą i pchają się naprzód, niektórzy trzymają się desek wozów, są to szczęśliwcy, którzy pozbyli się połowy ciężaru swego ciała.

Emeryk patrzy na nich błędnemi oczyma, kołysząc swą spiczastą głowę. Ci w górze denerwują go najwidoczniej. — Raptem wszystko cichnie. Emeryk może jeszcze pochwycić wzrokiem tyłki kilku żołnierzy, znikających za zakrętem drogi. Zdaleka dochodzi jeszcze trzeszczenie wozów, kilku kawalerzystów przegalopowało, i ucichło zupełnie za drzewami.

Teraz jest cisza absolutna. W podświadomości Emeryka formuje się zdziwienie, że Fera jeszcze nie gra — jest to przyczyną lekkiego niepokoju i mrużenia powiek. Emeryk otwiera okno. Po raz pierwszy od pięciu miesięcy do pokoju wpływa świeże powietrze; jest ono ciepłe, nieco wilgotne. Emeryk oddycha, przymrużywszy oczy — otwiera je jednak szybko: połowa okna poruszona wiatrem — skrzypnęła w zawiasach. — Och, więc to nie Fera. Ozłocone słońcem szczyty drzew odcinają się od czarnych pni. Ponieważ ptaki ćwierkają zbyt głośno — Emeryk zamyka okno i siada w fotelu. Odczuwa rozchodzącą się po ciele energję; — przecież jest mężczyzną, czuje to w sobie wyraźnie. Chwilę myśli, następnie wstaje, otwiera drzwi i wychodzi na kurytarz; przemyka się powoli do sąsiedniego pokoju. — Jest tu pełno w nieładzie porozrzucanych gratów. Emeryk otwiera dużą, dębową szafę; wyjmuje z niej szybko: stary oficerski mundur, czapkę, buty i zardzewiałą szablę, — składa to wszystko na ramię — szablę bierze w rękę i wraca do siebie. — Szybko zrzuca futro, kaftan i spodnie. Ubiera się w wyszarzały, noszony ongiś przez jakiegoś kuzyna — mundur. — Musiał to być drab nielada, bo spodnie sięgają Emerykowi aż po szyję. Daje sobie jednak z tem radę, — ach, bo mężczyzną jest przecie — ma chęć nim być. Wszystko już ma na sobie: zwisa na nim ten mundur, a między łydkę i cholewę możnaby włożyć małe polano; czapka opada na uszy, ale to nic — mimo to, jest

chyba Emeryk rzeźkim chłopakiem — oficerem. Coś jeszcze brak?— a, szabla przecie — ta najważniejsza rzecz u wojskowego; — przypina ją sobie Emeryk niezdarnie do pasa — wpierw z prawego boku, a potem — racja — z lewego. — Nieprzyjemny jest ten kawał zardzewiałego żelaza: ciągnie się po podłodze i plącze między butami, — lecz trudno; kto widział dziarskiego oficera — pełnego sił mężczyznę bez szabli. Emeryk spaceruje po pokoju: wyprostowany jest — długie włosy opadły na ramiona i zakrywają haft kołnierza, — jeden but tylko zbrojny jest w ostrogę, lecz tupie nim Emeryk mocno w podłogę i brzęczy rzeczywiście prawdziwie. Zmęczył się jednak tym chodzeniem — więc siada w fotelu, usadawia szablę i myśli: Piękna jest Flora — córka dowódcy pułku. I patrzy na mnie przychylnie — muszę zdobyć jej serce. Floro, pójdź zemną na spacer w topolową aleję. — Zatem zgoda. — Ach, Floro — jakże chłodne są twoje ręce, czy usta również takie? — Tak, usta... twoje są również chłodne, — a piersi... co to... nie masz piersi — Floro!? — Ale włosy twoje są wspaniałe... lecz nie, nie masz długich włosów Floro... i gładko uczesana jest twoja głowa. Pokaż więc twarz swoją. — Ach więc chłopcem jesteś Floro... no to teraz całuj mnie Floro... teraz... teraz — usta masz tak gorące... ramiona twoje są tak silne — obejmij mnie niemi... temi... męzkiemi — oh, co? — szabla przeszkadza... od... odrzućmy ją precz w... w wodę — tak, — teraz... Floro... Floryssie... we wło... we włosach... masz... wodorosty.

Początkowo cichutko, potem coraz głośniej poczyna grać Fera.

Emeryk otwiera oczy — drży z podniecenia; wstaje — ciąży mu mundur, buty, czapka — wszystko. Rozbiera się gorączkowo, odrzuca szablę ze wstrętem: — suknie, suknie włożyć jaknajprędzej— mundur precz, pod łóżko. Tak, — jak pieściwie otulają ciało suknie obszerne, jakże wygodne jest łóżko: — pieść mnie czarnowłosy djable-olbrzymie, oot, tak — tylko nie chybocz łodzią bo, hehe... utoniemy spleceni miłosnym uściskiem.

*

*   *

Kwiecień począł stroić w zieleń drzewa i krzewy parku: okrył je pąkami, a ptakom włożył w gardziołka świergot wesoły. Emeryk czyta Ewangelje. — Spieczonemi od żądz wargami szepcze czytane słowa. Poprawia co chwila wielką księgę ugniatającą mu kola-

na — w pożółkłych kartach widzi obrazy — jakże dalekie od treści czytanej księgi.

Czyta:

...„morze zaś burzyło się pod naporem wiatru silnego. Gdy więc upłynęli prawie dwadzieścia pięć do trzydzieści stadyów, widzą Jezusa kroczącego po morzu i zbliżającego się do łodzi, — i strach ich ogarnął“...

Emeryk przerywa czytanie i rozważa: Pięknie musiał wyglądać Syn Boży — gdy tak szedł bosemi stopami po szmaragdowych falach. Powiedziane jest jednak: szedł. — Trudno to jest iść morzem, którego fale zawsze są dość wielkie, — a nawet, gdyby kamieniały one pod krokiem Chrystusa, to i wówczas tworzyłyby nierówne, ślizkie pagórki — szklane... hehe... pagórki — zielone takie. Przyjemnie to iść sobie takim wodnym obszarem, ale na to trzeba być Synem Boga. — A tamci dwoje: — Flora tak piękna i ten oficer, chłop jak dębczak — w łodzi. Byli tylko ludźmi — niewolnikami cudownej sprawy dwojga ciał i, zginęli... hehe, ofiary perfidnej sztuczki natury. Istotnie, tak. Nie spotkałoby to ludzi o pewnej potędze — człowieka, przypuśćmy, będącego w możności władać żywiołami... Chrystus mógłby unieważnić wywrócenie łódki, — lub też ktoś inny — podobnie potężny człowiek.

Tak i podobnie myśli Emeryk — biedny obłąkaniec. A ponieważ interesuje go ta księga, w której zawarte są czyny i życie Jezusa — Chrystusa — człowieka, więc czyta dalej przerzuciwszy stron kilka:

...„I wypadła nawałnica na jezioro, tak iż zalewała ich wodą, i byli w niebezpieczeństwie. Przystąpili więc i obudzili Go, mówiąc: Mistrzu, Mistrzu, giniemy! On zaś, powstawszy, nakazał wichrowi i wodnym bałwanom, a one zaniechały i stała się cisza“...

— Hm, — myśli Emeryk — łatwiej to uciszyć morze wzburzone, aniżeli chodzić po niem. — I w wyobraźni jego utwarza się wielka przestrzeń wodna — szumiące morze, po którem idzie postać pełna majestatu i łagodności. Zmniejsza Emeryk przestrzeń, dzielącą go od owej postaci i widzi tam siebie — tak, idzie sobie on — Emeryk Sobel — po powierzchni tej masy wodnej; jego buciki na wysokich obcasach suną po wodzie, jak po miękkim kobiercu. Emeryk płacze: łzy jego padają na pożółkłe karty Ewangelji i tworzą tam plamy — na które Emeryk patrzy, uśmiechając się. A że park tętni pulsem życia i świeża zieleń trawy ciągnie na przechadzkę — więc Emeryk przyciągany siłą niewytłumaczalną —

zdejmuje futro, nakłada na suknie długi szlafrok niebieskiego koloru, poczem — z Ewangelją pod pachą lewej ręki — wychodzi, stąpając ostrożnie, ze swego pokoju na kurytarz. Minął pokoje ze staremi meblami, — gdy przechodził koło kuchni, uszu jego dobiegł śpiew Janki, a nozdrzom dał się odczuć zapach pieczonego mięsa. Przeszedł więc szybko to niemiłe mu miejsce i stanął na progu domu. Przed sobą ma zalaną słońcem przestrzeń; wielkie pasmo stepu ciągnie się w rozsłonecznioną dal. Na widnokręgu ledwo rysują się ciemne smużki jakby: są to lasy odległe. Emeryk oddycha przeczystem powietrzem i myśli o morzu i o Chrystusie. Stoi w słońcu: — jakże żałośnie wygląda ta wątła postać, tak dziwacznie ubrana: nalaną, żółto-brudną twarz, okalają długie, w kosmykach na ramiona opadające włosy: — z pod obszarpanego u dołu szlafroka wyglądają skoślawione buciki kobiece. Stoi Emeryk z Ewangelją pod pachą i marzy, patrząc w błękitne niebo. Lecz nagle skrzypce Fery orzeźwiają niemile Emeryka: okrąża dom mrucząc coś i po chwili jest w parku. Idzie zapuszczoną, zarosłą aleją, a rozmokła, wiosenna ziemia wydaje mu się wodą morza — zieloną. Idzie naprzód — bez celu wyraźnego; — gdzieniegdzie między drzewami, w miejscach wilgotnych i słońca pozbawionych, leżą płaty śniegu topniejącego. Cisza jest tutaj i chłód. Raptem wyłaniają się z gęstwiny krzaków kępy sitowia, a za niemi widać staw — staw nieruchomy, ciemno-zielony.

Twarz Emeryka płonie ekstazą — przyciska Ewangelję do piersi. — Więc w tem miejscu — tutaj zgi... utonęli — zalewając zimną wodą żar swoich ciał rozpalonych. Och, Floro, piękna Floro, czemużeś pogardziła mną, gdym cię tak kochał przed laty, czemużeś?... ze mną byś nie zginęła... Patrz... oto przejdę przez miejsce, które stało się... grobem waszym... Patrz! Emeryk idzie naprzód— wzniósłszy lewą rękę do góry — między sitowia. Nie czuje miękkości gruntu i chłodu wody przenikającej buciki. Idzie powoli i widzi siebie, stąpającego po powierzchni stawu, a naprzeciw zbliża się ona, Flora — w pokorze i zdumieniu. — Jest już po pas w zimnej wodzie stawu — idzie: razem z Ewangelją zanurza się coraz głębiej, ramiona obejmuje chłodny uścisk — lecz daleki jest Emeryk od odczucia tego: — On idzie przecież powierzchnią, po grzbietach ryb trwających ławicą w podziwie najwyższym. — Lecz — co za dziwne uczucie — straszne: przez gardło, przez nos i uszy leje się woda — zimna, zła, słodkawa: — leje się do wnętrzności, dusząc, dławiąc... oh... ohh... ohohoch!! — krzyku nie można wydo-

być. Przed rozwartemi szeroko oczyma — poprzez wodę, przesuwają się obrazy jakieś dziwne: wyraźnie widzi Emeryk: elementarz z wielkiemi literami — modlącą się babkę — Florę uśmiechniętą szyderczo — siebie tam, pod oknem. Przeróżne sceny z życia, z tego pomylonego życia. Wszystko to kręci się, miesza, wiruje i wielka twarz Chrystusa patrzy na Emeryka łagodnie. Śmierć — na dnie stawu, w mule — usadowiła miękko zwłoki Emeryka Sobla.

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

Pagórki bez końca... lasy sosnowe, wśród których srebrem matowem błyszczą brzozy... błękitne strumienie i szerokie, powolne rzeki wśród zielonych, jaskrawo-zielonych łąk... — taka jest Łotwa, mająca niezwykły urok kraju północno-zachodniego, w którym wiosna jest prawdziwem świętem ziemi, jesień zaś — barwniejsza od osławionej „polskiej jesieni". Łotysz niezmiernie kocha swoją ziemię i pracuje starannie nad życiodajną glebą. Kraj nie obfituje ani w węgiel, ani w żelazo, ani w ropę, będąc krajem rolniczym. Wywłaszczenie ziemi i jej parcelacja mają z tego powodu na Łotwie sens, bodaj, symboliczny.

Łotysze nie mają przeszłości. Więc każdy obywatel ma dużo chęci nauczyć się czegoś od sąsiadów. Polska, historycznie związana przed kilku wiekami z Łotwą, zawiera w sobie dla każdego łotysza urok kraju z bogatą kulturą materjalną i duchową, którą odziedziczyła od dawnych pokoleń.

Z drugiej zaś strony morze otwiera szerokie drogi na Zachód — i Łotwa bynajmniej nie sprzeciwia się wpływom kultury krajów zachodnio-europejskich.

Co się zaś tyczy Wschodu, wpływ Rosji na Łotwę jest rzeczą logiczną. Przecież Łotwa była w ciągu dwustu lat związana z Rosją. To też wpływy polskie, niemieckie, rosyjskie najwięcej odbiły się na literaturze łotewskiej.

Jak większość narodów, łotysze mają swoje pieśni ludowe, lecz wyłącznie liryczne. Obfity materjał folkloryczny został zebrany i wydany w połowie wieku XIX-go przez romantyków-patrjotów łotewskich, którzy święcie wierzyli w odrodzenie kraju rodzinnego. Jedni z tych działaczy narodowych poświęcili swoje życie wyłącznie zbadaniu i wyświetleniu zagadnień narodowościowych, jak Krisjaris Valdemars (1825 — 1891), wydawca łotewskiej „Gazety Petersburskiej" („Peterburgas Avize"). Inni, jak, poeta Juris Alunans (1832 — 1864), zwracali uwagę na zachowanie w całości kultury językowej. Inni jeszcze, jak, Krisjanis Barons (1835 — 1923), zbierali i wydawali pieśni ludowe. Odrodzenie narodowe szerokim prądem, jak rodzime rzeki łotyszów, błękitna Daugava (Dwina)

lub szaro-stalowa Aa, fala za falą, wynosiło idee twórcze na szerokie morze rozwoju ogólno-europejskiego. Ta epoka duchowej pracy przyniosła jutrzenkę narodzenia literatury łotewskiej.

Prawdę mówiąc do połowy wieku XIX-go łotysze literatury swojej nie mieli, ponieważ nie można zaliczyć do literatury tłómaczeń Biblji lub ksiąg kościelnych oraz prac dwóch — trzech pastorów.

Pierwszym poetą łotewskim był Andrejs Pumpurs (1841 — 1902), który w wierszach swoich opowiadał o heroizmie narodu łotewskiego, o miłości człowieka do człowieka. Forma jego wierszy jest ludowa, osnuta na tle liryki ludowej. Wędrując po brzegach powolnej Daugava, poeta zbierał pieśni i legendy ludowe o bohaterze narodowym Lacplesise, poskromicielu najsilniejszego zwierzęcia Łotwy — niedźwiedzia. Ten materjał Pumpurs opracował w siedmiu rozdziałach eposu swego pod tytułem „Lacplesis", który odgrywa w litetraturze łotewskiej taką samą rolę, co słynna „Kalevala" Lönnrota w literaturze fińskiej. Poeta wprowadził do swojego utworu symboliczną postać Czarnego Rycerza — personifikację krzyżaków. W ten sposób Pumpurs stworzył epos narodowy. Epoka romantyzmu przyszła na Łotwę zapóźno. Lecz obok autora „Lacplesisa" zjawił się jeszcze jeden poeta-romantyk przedwcześnie zgasły Mikus Krogzemju (1850 — 1879), znany pod pseudonimem „Auseklis". Ten poeta pisywał wiersze erotyczne i bachiczne; najlepszym przykładem liryki jego jest krótki poemat „Trimpula" (Trimpus — imię łotewskie Bachusa). Auseklis pisywał też ballady nierymowane w stylu ludowym. Tem samem manifestował Auseklis swoją łączność z ziemią i z jej siłą twórczą, siłą żywiołową. Co do prozy łotewskiej, ta w drugiej połowie wieku XIX-go przeszła ewolucję od realizmu ku naturalizmowi. Juris Neikens (1826—1868), żyjąc wśród ludu, opisywał obyczaje włościan łotewskich językiem ludowym. Twórczość jego przypomina czytelnikowi polskiemu charakterystyczne cechy St. Reymonta i Kaz. Przerwy-Tetmajera. Większe znaczenie od Neikensa i innych współczesnych mu autorów mieli bracia Matiss (1848 — 1926) i Reinis (1869 — 1920) Kaudzite, którzy w romansie „Czasy mierniczych" („Mernieku laiki") opisywali epokę podziału ziemi na Łotwie w drugiej połowie wieku XIX-go, biedę włościan i pychę nieugiętych magnatów ziemskich. Przed wzrokiem czytelnika przesuwa się cały kraj, cała galerja typów różnych warstw, zamieszkujących tę ukochaną przez chłopów łotewskich i dla nich niedostępną ziemię. Krytyka łotewska słusznie porównywa ten utwór ze słynnemi „Martwemi Du-

szami“ Mikołaja Gogola, które odzwierciedlają Rosję z czasów Mikołaja I, widzianą przez pryzmat bujnej fantazji romantyka. W obydwu tych utworach panuje żywioł nieugiętej satyry.

Obok naturalizmu, w literaturze łotewskiej wieku XIX-go istniał sui generis sentymentalizm. Poeta Jusmins Lauterbachs (1847 — 1928) rozpoczął swoją długoletnią pracę literacką zbiorem sentymentalnych bajek pod tytułem „Role“ („Lomi“) oraz zbiorem wierszy pod tytułem „Liga“, który miał dużo powodzenia. Lecz po kilku poematach sentymentalno-romantycznych Lauterbachs zwrócił się ku źródłom ludowym. Nie naśladując Pumpursa, poeta nosił się z zamiarem napisania obszernego poematu bohaterskiego, osnutego na legendach ludowych. Poemat ten, w 24 rozdziałach, został napisany wierszem daktylicznym i nosi pięknie brzmiący tytuł: „Niedrisu Vidvuds lub czyny bohaterskie wielkich ludzi starożytności łotewskiej“. („Niedrisu Vidvuds jeb varenu viru darbi Latvijas senatne“). Poemat Lauterbachsa jest raczej dziełem naukowo-popularnem, niż poetyckiem. Lauterbachs jest też znany jako autor sztuk dramatycznych, których tematy zaczerpnięte zostały z mitologji bajecznej łotyszów. Jego „Narzeczona z Błękitnej Góry“ („Zila valna ligava“) i inne dramaty były ozdobą teatru łotewskiego, którzy powstał jeszcze w roku 1870 pod kierownictwem aktora i pisarza Adolfsa Aluvansa (1848 — 1912). Ten ostatni zawdzięcza sławę swoją komedjom „Sześć małych bębnów“ („Sesi mazi bundzenieki“), „Cała moja rodzina płacze“ („Visi mani radi raud“) i innym.

Do znanych poetów drugiej połowy wieku XIX-go należy Sudrabu Edzus (ur. w r. 1860), który w porównaniu z Lauterbachsem jest o wiele barwniejszy i bogatszy. Poematy Edzusa, jak „Wódz litewski“ („Lietavas virsaitis“) lub „Wspomnienia dwóch rodzin“ („Atminas par divam dzimtam“) oraz wiersze liryczne wyróżniają się rytmiką i szczerością, gdy Lauterbachs przypomina swoim anachronicznym poematem poetów klasycznych wieku XVIII-go.

W ostatniem dziesięcioleciu wieku XIX-go, gdy w literaturze polskiej sformował się nowy kierunek pod hasłem „Młoda Polska“, zaś w literaturze rosyjskiej powstały nowe kierunki symbolistyczne i realistyczne, literatura łotewska stanęła na rozdrożu. Przecież o romantyzmie nie mogło być mowy. Rozpoczynała się nowa epoka. Prądy materjalizmu filozoficznego pochodzenia rosyjskiego i niemieckiego wywierały znaczny wpływ na tę „Młodą Łotwę“.

Jednocześnie wiatr zachodni przyniósł zdaleka powiewy symbolizmu francuskiego („Młoda Francja“) i belgijskiego („Młoda Belgja“). Krytyk literacki Janis Jansons (1871 — 1917) torował szeroką drogę wpływom obcym, i pod jego wskazówkami obok dawnych czasopism łotewskich powstały nowe. Napróżno nacjonaliści żądali, aby młodzież nie zarzucała tradycji narodowych. Przecież w ducha narodu łotewskiego oddawna była wpojona głęboka miłość do ojczyzny, dla której zupełnie obce były idee internacjonalizmu. Poeta Eduards Veidenbaums (1867 — 1892) w przededniu nowej tej epoki pisywał wiersze o nadzwyczajnej prostocie, lecz forma tych wierszy była wyszukana; poeta miał za wzór ody Horacego. Młodzi literaci łotewscy zrozumieli, że oprócz strony ideowej poeta lub prozaik powinien uwzględniać w swoich utworach stronę formalną.

Prozaik Rudolfs Blaumanis (1862 — 1908) osiągnął wysoką prostotę stylu, naśladując Prospera Mériméego. Wieś łotewska staje się dla niego nie tylko tłem życia ludu (jak, naprzykład, u współczesnego mu prozaika Janisa Jaunsensa, który obrał sobie pseudonim „Apsit“). Blaumanis głęboko odczuł psychologję swoich bohaterów. W opowiadaniu „Andriksons“ autor osiągnął szczyt subtelnej analizy psychologicznej. W dramatach jego: „W ogniu“ („Uguni“) i innych, czytelnik odczuwa wpływ symbolizmu francuskiego.

Nowy łotewski kierunek literacki na rubieży dwóch stuleci ochrzczony został jako „Nowy Prąd“ („Jauna strava“). Ulubioną lekturą jego przedstawicieli stają się: Marks i Engels, Darwin i Heckel, Taine i Brandes — z jednej strony, pisarze skandynawscy (Killand, Harborg), rosyjscy (Korolenko, Gorkij, Czechow) i francuscy (Zola, Maupassant) — z drugiej, nie mówiąc o bożyszczach ogólno-europejskich owej epoki — Ibsenie i Hauptmanie. Jednak literatura łotewska nie straciła swojej łączności z ludem i ziemią. Przykładem tego jest twórczość Andrievsa Niedry (ur. w r. 1871), który swoją karjerę literacką rozpoczął od pisania wierszy lirycznych, aby potem przejść do prozy psychologicznej. Sławę swoją za czasów młodości Niedra zawdzięcza bajkom, w których wątek bardzo często rozwija się na dwóch płaszczyznach. Styl jego jest zwięzły, prosty, zaś psychologja bohaterów — skomplikowana. Niedra wysuwa na pierwszy plan rywazlizację nowych warstw kulturalnych łotewskich z arystokracją feodalną niemiecką. Na tem tle został osnuty jego romans „Dym odnowienia“ („Liduma du-

mos“), który obfituje, niestety, w monologi patetyczne i ma ujemne cechy spóźnionego romantyzmu. To samo powiedzieć można o utworach scenicznych Niedry, naprzykład, „Ziemia“ („Zeme“), które mają wskutek tego charakter melodramatyczny.

W przeciwieństwie do Niedry wprost zdumiewa szczerością swego liryzmu prozaik Janis Poruks (1871 — 1912). Pod wpływem nowelisty rosyjskiego Antoniego Czechowa, Poruks określa bohaterów swoich, jako „ludzi zmierzchu“, ginących pod pięścią nieugięto tego życia. Czasami Poruks wraca do wspomnień dzieciństwa (por. J. Kadena-Bandrowskiego); liryzm jego nadaje się do odtwarzania szkiców sentymentalno-romantycznych w tym rodzaju. jak i do wierszy lirycznych. Niestety, światopogląd Poruksa sformował się pod wpływem twórczości Fr. Nietzschego, Richarda Wagnera i Goethego, których dzieła pisarz studjował podczas pobytu swego w Dreznie za czasów młodości. To też strona ideowa utworów jego zbyt często pozostaje w rozbieżności ze stylem, co doprowadza autora do szeregu komplikacyj ideologicznych oraz do pragnienia pogodzenia mistycyzmu, wpojonego mu od dzieciństwa, z materjalizmem rosyjsko-niemieckim.

Współczesny Poruksowi poeta Karlis Skalbe (ur. w r. 1879) szczęśliwie uniknął fatalnych rozbieżności dzięki zdrowym stronom swego talentu. Jest to typowy realista, który połączył ten realizm z romantycznym światopoglądem poetyckim i z całą świadomością pracował nad mową poetycką, aby się wyrażać ściśle i z prostotą. Mając pod ręką wydania łotewskich bajek ludowych, przysłuchując się poezji ludowej, Skalbe napisał najpiękniejszą książkę swoją „Bajki wróżek“ („Pasakas“). Nic skomplikowanego, nic zawikłanego, żadnej filozofji — tylko szczera poezja. Rodzime pagórki i lasy, błękitne rzeki i zielone łąki znalazły w Skalbem swego tłómacza. Jako poeta - liryk Skalbe należy dotychczas do najpopularniejszych poetów Łotwy, zaś jako prozaik osiągnął tajemnice prozy rytmicznej.

Wśród innych poetów, obok Skalbego, wyróżnia się Viktors Eglits (ur. w r. 1877), którego wiersze są raczej przykładami nowych teorji poetyckich. Eglits zdobył się w swoich „Elegjach“ („Elegijas“) na przejrzysty styl poetycki.

Z pośród innych utworów jego wyróżnia się epopea „Szary baron“ („Pelekais barons“). Poetą tej samej miary, co i Eglits, jest Vilis Pludonis (ur. w r. 1874), bardzo popularny wśród szerokich warstw czytelników. Zbiory jego wierszy od pierwszego — „Pierw-

sze akordy" („Pirmie akordi") do ostatniego — „Odwiedziny Muzy" („Muzas mirkli") oraz poematy, jak „Requiem", „Dwa Światy" („Divas pasaules") zawierają głębokie myśli, wypowiedziane w prostej formie, uważanej za klasyczną i wzorową.

Do prozaików kierunku klasycznego zaliczyć należy Andrejsa Upitsa (ur. w r. 1877), który wyrobił swój styl naturalistyczny, wzorując się na romansach Zoli oraz polemizował z symbolistami, broniąc naturalizmu.

Obok wpływów romańskich, germańskich i słowiańskich dostrzegamy w literaturze łotewskiej szereg dzieł, tłómaczonych z języków obcych. Nie będę ich wyliczał; nie podam też spisu wszystkich poetów i prozaików. Ale z pośród najwybitniejszych przedstawicieli literatury łotewskiej powinniśmy wskazać na dwóch, których talenty posiadają nieprzeciętną wartość. Są to małżonkowie Plieksansowie: Elza z domu Rozenbergów, która obrała sobie dźwięczny pseudonim „Aspazija" (ur. w r. 1868) oraz Janis Pleksans (1865 — 1929), który podpisywał utwory swoje nie pseudonimem „Perykles", lecz skromnem nazwiskiem „Rainis". Poza pretensjonalnością pseudonimu małżonki w twórczości obojga niema nic banalnego. Rozumie się, ta jedyna poetka łotewska głosiła hasła równouprawnienia kobiet, miała za wzór George Sand i — kto wie, czy nie marzyła o sławie Madame Récamier.

Liczne dramaty Aspazji w rodzaju litewsko-łotewskiej sztuki „Wajdelota" („Vaidelota") lub komedji „Utracone prawa" („Zaudetas tiesibas"), przepojonej hasłami równouprawnienia kobiet, są zbyt teatralne, retoryczne i zanadto romantyczne. Zresztą Aspazji nie brak szczerości i porywającej czytelnika serdeczności. Poetka kocha świat, kocha człowieka i człowieczeństwo. Będąc nawskroś kobietą, ma ona wady kobiece, które nadają subtelny urok jej twórczości. Nigdy nie trafia w próżnię: od tego chroni ją talent i technika wierszopisarska. Twórczość liryczna Aspazji jest spokrewniona z poezją współczesnej jej poetki rosyjskiej Mirry Łochwickiej - Żyber. Z pośród współczesnych polskich poetek do pewnego stopnia zbliżona jest do Aspazji Marja Pawlikowska.

Szereg zbiorów liryki Aspazji zawiera prawdziwe perły poezji. Jej liryzm ma charakter indywidualistyczno-romantyczny. Dla Aspazji dostępne są nastroje poezji ludowej, rozczarowania i gorycze epoki symbolizmu, naiwny erotyzm romantyzmu wieku XX-go. Poetka nie pogardza żadnym obrazem poetyckim prostym, jak kamyczek z brzegów rodzimego morza Bałtyckiego, nie omija zwy-

kłych przeżyć codziennych, słusznie uważając swój świat wewnętrzny za bogatszy od szerokiego świata poza obrębem duszy poetyckiej. Te cechy twórczości Elzy Plieksarsowej pozwalają wybaczyć naiwną kokieterję, którą uderza tak pięknie, aż nazbyt pięknie brzmiący pseudonim.

Jej małżonek bez żartów zasługuje na pseudonim „Peryklesa“ poezji łotewskiej. Janis Rainis wszedł do literatury z tłomaczeniem „Fausta“ Goethego; prócz tego tłómaczył dużo, jak L. Staff lub J. Kasprowicz (Goethego, Schillera, Lessinga, Shakespeara, Byrona, Puszkina, Lermontowa i in.). Sam tytuł pierwszego zbioru oryginalnych poezyj wskazuje na wpływ symbolizmu francuskiego. „Dalekie dźwięki wśród liljowego wieczoru“ („Talas noskanas žila vakara“). Na zbiór ten składają się utwory o motywach społecznych w ujęciu romantycznem i objawach skrajnego indywidualizmu. Epoka Rainisa była dla narodu jego epoką reform społecznych, walk o wolność indywidualną i narodową. Rainis, to do pewnego stopnia rewolucjonista, co było tak charakterystyczne dla jego czasów. Najlepszy zbiór wierszy Rainisa „Koniec i Początek“ („Gals un Sakums“) wskazuje na to, że autor był w gruncie rzeczy poetą-symbolistą, który odczuwał piękno słowa i muzykę rytmów. Ciekawe jest połączenie w twórczości Rainisa obrazowości bajek ludowych z nastrojami i techniką poetów-symbolistów europejskich. Przykładem tego jest piękna bajka udramatyzowana pod tytułem „Złoty koń“ („Želta žirgs“), bajka o łotewskiej Królewnie-Wiośnie, którą budzi w kryształowej trumnie prosty chłop łotewski — Słońce. Z pośród innych dramatów Rainisa wyróżnia się późniejszy, powojenny: „Józef i jego bracia“ (Jazeps un vina brali“).

Dzięki temu, że poeci i prozaicy łotewscy z czasów przedwojennych brali czynny udział w rozwoju literatury powojennej, krwawe lata wojny światowej, które przyniosły zniszczenie całej Łotwie, nie wstrzymały stopniowego rozwoju literatury łotewskiej Stale zjawiają się nowe imiona, lecz ideowi przedstawiciele współczesnej literatury łotewskiej pozostają nadal w łączności ze swoją ziemią i ze swoim ludem.

SERGJUSZ KUŁAKOWSKI

PRO DOMO SUA.

W dn. 2 listopada 1930 r. odbył się w domu Elizy Orzeszkowej w Grodnie wieczór „Kwadrygi", zorganizowany staraniem Tow. Przyjaciół Literatury i Sztuki im. Elizy Orzeszkowej. W wieczorze brali udział członkowie grupy: St. R. Dobrowolski, Stefan Flukowski, Władysław Sebyła i Włodzimierz Słobodnik.

W najbliższym miesiącu ukażą się w Bibljotece „Kwadrygi": nowy tomik wierszy *Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego* p. t. *AUTOPORTRET*, oraz nowy tom *Stanisława Ciesielczuka* p. t. *GŁAZY I STRUNY*.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

W. P. Zakopane. Wiersze wydrukujemy po nadesłaniu nazwiska, ewentualnie pseudonimu i adresu.

A. Mansuy. Wspomniany przez Pana wiersz jest gładki w formie, wdzięczny w wyrazie, ale nie odznacza się żadnemi wybitnemi walorami poetyckiemi. Stoi na poziomie przeciętnego tradycjonalizmu, co biorąc pod uwagę bardzo młody wiek autora, jest zrozumiałe. Kwestja tematu jest dla nas zasadniczo obojętna. Wolimy dobry wiersz o Wersalu, niż o Łazienkach taki, który nie jest wyrazem samodzielnego poszukiwania własnej formy.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE.

Stefan Balicki, *Dziewiąta Fala*, powieść, nakład św. Wojciecha, str. 169 + 3 nl.

Tadeusz Rittner, *Dzieła — Tom II, III*, F. Hoesick, Warszawa, str. 204 + 4 nl., str. 203 + 1 nl.

L'Estonie Litteraire, nr. 1, Mai 1930, wyd. PEN Clubu Estońskiego.

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW SEBYŁA